

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór ekryc damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

51

Maksym Duret został tem przybity do reszty.

— Nie długo on jednak pozostał więzieniem — odezwał się teraz szef policyi. — Wspólnik jego zdołał go uwolnić i obecnie bujać gdzieś we dwóch, a gdzie, to tylko djabeł wie...

Prezes zdawał się być zamienionym w posąg, a stał się biały jak marmur.

— Ale — ciągnął dalej szef policyi — najciekawsze w tem wszystkim jest to, że pan zna dobrze tego Panajona.

— Ja?... — zdołał zaledwie wyszeptać nędznik.

— Pan i cały Paryż... Zdobył sobie pańską przyjaźń i wielu innych ludzi pod przybranem nazwiskiem Karola Turnera... Tak, panie... Ten znany australczyk, który był tak głośnym od kilku dni, jest w gruncie rzeczy opryskiem, kilkakrotnie karany już sądownie... I co pan to??... Nie spodziewał się pan czegoś podobnego?...

I szef opowiedział wszystko, co się stało przy ulicy Boissy d'Anglas.

O ósmej rano przybył sędzia śledczy z sekretarzem, by obejrzeć miejsce kradzieży i zebrać szczegóły od pana domu i służby. Maksym Duret dowiedział się przytem, iż Panajona widziano w samochodzie w lasku Bulońskim.

Wreszcie prezesa pozostawiono samego z jego rozmyślaniami. Nie były one zresztą bardzo wyraźne. Nie mógł pogodzić się z rzeczywistością i ciągle powtarzał:

— Nic nie rozumiem... Co to będzie?...

Koło południa, gdy siedział w swym gabinecie z łokciami opartymi na biurku, ściskając sobie rękami głowę, wszedł służący i podał mu kartę wizytową.

— Lewis Jackson, Chicago — przeczytał. — Nie! Nie przyjmuję nikogo!

Lecz amerykańnik ukazał się tuż za służącym, a za nim wchodził inny gość.

— Julian Maixent... — szepnął filantrop.

Był błądy i siedział jakby wtłoczony w swój fotel.

Służący widząc, że pan jego nie mówi nic więcej, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Nastąpiło milczenie. Nędznikowi zabrakło głosu. Wreszcie zdołał wymówić:

— Co znaczy ta karta?

— To moje nazwisko — odparł amerykańnik.

— Znam z nazwiska Lewisa Jacksona... Jest to miliarder...

— To ja jestem...

Maksym Duret czuł, że Julian Maixent mówi prawdę. Zamilkł znowu. Był jak odurzony.

— Czego pan sobie życzy? — wykrztusił z siebie po chwili.

— Zawiadomić pana o skazaniu — odpowiedział flegmatycznie amerykańnik.

— O skazaniu?... Co to ma znaczyć?...

Prezes nie chciał się jeszcze poddać. Udawał zdziwienie, lecz rolę tę odgrywał bardzo niedołężnie, gdyż z przygnębionej miny jego i braku słów widać było przyznanie się do porażki. Nędznik, gdy tylko spojrzał na pewne siebie postaci dwóch gości, pojął odrazu, że sprawa jest przegrana i nadszedł czas płacenia.

Lewis Jackson mówił dalej:

— Nie znoszę wykrętów i żadnych formalności. Służą one zresztą tylko przy zastosowaniu praw spisanych w kodeksie... A ja jawię się tutaj jako

wykonawca prawa nie kodeksowego, lecz prawa linczu... Zbytecznem więc jest wyliczać pańskie przestępstwa... Zbytecznem wchodzić w szczegóły samej kar... Nie mamy co się bawić w takie historie... Niech pan wie tylko, że dajemy panu jeszcze czterdzieści ośm godzin łaski...

Maksym Duret był człowiekiem niezmiernie dumnym. To słowo łaska podziałało na niego odpornie. Wyprostował się nagle i rzekł wyniosło:

— Jakie dowody ma pan na to, o co mnie oskarża?

Przystępował do walki.

— Czy ma pan — ciągnął dalej — choć trzy wiersze mego lub siostrzenicy mej pisma, na którym mógłby się pan opierać?... Czy ma pan innego świadka oprócz Panajona, którego przysięgi nie przyjmie żaden trybunał?...

— Nie wiem — odrzekł spokojnie Lewis Jackson — czy moje dowody byłyby wystarczające dla sądu... Dostateczne one są dla mnie i to mi już wystarcza...

Przez chwilę Maksym Duret myślał, by skorzysta z Ludwika jako zakładniczki, jak to mu podawał swego czasu Panajon. Przypomnił jednak sobie zaraz, że złodziej przeszedł do obozu Lewisa Jacksona i że wobec tego więzienie młodej panny prawdopodobnie już się skończyło.

Nędznik mimo to nie złożył jeszcze broni. Wstał z fotelu i nie wiedząc, co powiedzieć, patrzył na amerykańnika tak podejrzanym okiem, iż Joe Smith, który stał w głębi gabinetu, podszedł ku obu przeciwnikom.

— *Hallo!* — zakończył miliarder, nie tracąc swego lodowatego spokoju. — Szkoda czasu na słowa... Nie jesteśmy w teatrze, byśmy grali komedję... Powtarzam panu, że ma pan czterdzieści ośm godzin na przygotowanie się do poniesienia kary... Niech pan się spieszy z wykorzystaniem tego czasu... Za dwa dni pan zniknie...

Te ostatnie słowa przypomniały Maksymowi Duretowemu jego siostrzenicę.

— Co pan zrobił z panią de Lagunan?... — nie mógł powstrzymać się od zapytania.

Był teraz przekonany, że Lewis Jackson i Piotr są sprawcami zniknięcia baronowej.

— Niech pan się nią nie zajmuje — odpowiedział miliardier... Nigdy już jej pan nie zobaczy i nie będzie miał o niej żadnych wiadomości... Niech pan myśli o sobie... Zdaje mi się, że pan nie chce publicznego wyjawienia ani swego postępowania, ani kary, jaką pan poniesie?

Prezes nie odpowiedział. Lecz dla każdego, kto znał jego dumę, widoczne było, iż wolałby on po nieść tysiące kar, byle tylko za tę cenę powstrzymać rozgłoszenie swej hańby.

— Ani mnie ani Piotrowi również na tem nie zależy... — mówił dalej businessman. — Nie chcemy aby nazwisko, które nosi pańska wnuczka, Kamilla, było deptane w błocie na bulwarach... I dlatego tylko udzielamy panu czasu dostatecznego do porobienia przygotowań do rzekomej podróży... Niech pan oznajmi swym przyjaciółom i znajomym, że z powodu ważnych spraw musi pan opuścić Francję i zamieszkać w Australii... Niech pan zapakuje kufry, odprawi służbę i zamknie swą willę...

Lewis Jackson spojrzał na zegarek i dodał:

— Mamy obecnie piątek, dwudziesty szósty lutego, godzinę dwunastą minut dwadzieścia pięć... Ma pan czas do niedzieli, dwudziestego ósmego lutego, dwunastej minut dwadzieścia pięć w południe... Niech pan robi, co chce przez ten czas... ale nie wydala się poza granice Paryża... i nie stara się oszukać czujności tego pana...

Businessman wskazał na swego sekretarza i zwrócił się do niego:

— Smith, będzie pan uważał się za sekretarza tego człowieka... Niech pan nie oddala się od niego nawet na pół minuty... Niech nie uczyni ani jednego

ruchu, którego by pan nie widział... Niech nie wymówi jednego słowa, którego by pan nie słyszał... A gdyby nie poznał się na pańskiej grzeczności, wtedy ognia! położyć go natychmiast na miejscu... Rozumiesz pan?

— *Yes, sir* — odpowiedział flegmatycznie Jankes.

— Niech pan pokaże rewolwer, który kupiliśmy po drodze — rzekł Lewis Jackson.

Joe Smith wyjął z kieszeni marynarki rewolwer, który kupiliśmy po drodze — rzekł Lewis Jackson.

Joe Smith wyjął z kieszeni marynarki rewolwer dużego kalibru.

— *Well!*.. zaczął znowu miliarder, mówiąc do Maksyma Dureta. — Jest to doskonała broń, dokładnie wykończona, a pański czasowy sekretarz z odległości dwudziestu metrów trafia w markę pocztową... Od ósmnastego do trzydziestego roku życia był to cow-boy... Jest więc pan uprzedzony o wszystkim...

Maksym Duret siadł znowu i patrząc do okna, udawał, że nie słyszy miliardera. Mimo jednak tych ostatnich objawów swej dumy, nędznik ulegał zwolna. Co chwila wstrząsały nim dreszcze, a na zimnem jego ciele powstawały wielkie krople potu.

— Nie dosyć jednak — mówił dalej Lewis Jackson — że pański dozorca będzie uzbrojony... To mało... Pan nie może mieć przy sobie żadnej broni... W przeciwnym bowiem razie może pan skorzystać z tego tete-à-tete, zamordować go podstępnie i uciec... *Hallo!* wstać!

Maksym Duret udał, że nie słyszy.

— Wstać! — powtórzył gniewnie amerykańnik. Pokazać kieszenie! Ach! niech mnie pan nie doświadcza... — dodał, widząc, że prezes nie zmienia pozycji. — Czy pan nie widzi, że mój spokój jest tylko powierzchowny?... Czy pan nie czuje, jak się hamuję, by pana nie zgnieść tu jak psa wściekłego?...

Lewis Jackson unosił się. Nie podnosił głosu, tłumił go nawet, lecz w tonie jego brzmiała jakaś dzikość.

— Ognia! — rozkazał nagle. — Strzelaj, Smith. Maksym Duret wyprostował się odrazu.

Sekretarz wycelował i palec położył na kurku. Lewis Jackson opanował się.

— Nie strzelaj, Smith! — rzekł.

Potał sobie ręką czoło, odetchnął głęboko i dodał:

— *Well!* Uoknąłeś kuli, Duret... Nie narażaj się więcej na to... Żadnego oporu!

Prezes czuł, że śmierć nad nim stała. Nie czekając nowego wezwania, wywrócił na lewą stronę kieszenie, kładąc przed sobą kilka przedmiotów, jakie w nich miał.

— *All right!* — rzekł miliardier. — Nie ma broni! *Well!* Smith! Uważaj teraz, by nie ukrył gdzie rewolweru...

— *Yes, sir!*

— Duret, musi pan wrócić wieczorem o dziewiętej godzinie... Będę na pana czekał... Ja będę pilnował pana w nocy... Smith będzie pełnił tę służbę w dzień...

— *Yes, sir!* — powtórzył Jankes.

Maksym Duret milczał.

— *All right!* — zakończył miliardier.

Spokojnie opuścił gabinet i wyszedł na ulicę tak równym krokiem, jakby przed chwilą załatwiał jakiś interes handlowy.

Prezes i Joe Smith zostali sami, jeden naprzeciw drugiego.

Po pewnej chwili otworzyły się drzwi do gabinetu, wszedł służący i oznajmił:

— Do stołu podano!

Czy jego pan był sam, czy też miał kogo u siebie, służący był obowiązany zawsze uprzedzić, iż czas już siąść do stołu.

Prezes spojrzał na służącego bezmyślnym wzrokiem, potem przeszedł do jadalnego pokoju. Joe Smith szedł za nim krok w krok.